Świat powieściowy.

Pismo tygodniowe belletrystyczne.

Wychodzi we Lwowie w każdą niedzielę.
Administracja: ulica Grodzickich l. 4. w drukarni narodowej W. Manieckiego.

Nr. 10.

dnia 6. Lutego 1881.

Prenumerata wynosi wraz z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . 2 zł.
półrocznie . . . 4 zł.
rocznie . . . . 8 zł.

ZDRAJCA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA W DWÓCH TOMACH

przez Autora „*Marzycieli*“

Tom I.

Errare humanum est.

(Ciąg dalszy).

Starosta stojąc przy oknie, patrzył właśnie na rynek zabłocony, gdy Ryszard zajechał. Ucieszył się niezmiernie jego widokiem, kochał go bowiem jako krewnego, a wysoko cenił i poważał jako człowieka pełnego zacności i nauki. Po chwili Ryszard wszedł do jego biura.

— Jak się masz chłopcze? Zdaje mi się, że już sto lat jak cię nie widziałem... myślałem, że was tam wody zalały!

Uścisnęli się serdecznie.

— Przecie dopiero tydzień jak tu byłem.

— Tydzień, tydzień! Dla was co macie towarzystwo i wista, tydzień minie jak z bata trzasł, ale dla mnie, który muszę siedzieć z nudnym narodem, siedm dni to wieczność!

— Więc w tym czasie nigdzie nie wyjeżdżałeś Zygmusiu?

— Wszak leje jak z cebra, a mój powozik w naprawie. Trudno żądać, bym w taki czas wózkiem wyjeżdżał.

— Prawda, narodowi trzeba zawsze szyku zadawać — zawołał Ryszard wesoło.

— Spodziewam się... jak się jest starostą i ma się pod sobą sto wsi i cztery miasteczka, nie można swego stanowiska lekceważyć! Z narodem trzeba być na pięć kroków, inaczej będzie cię miał za nic!

Zapalili sobie cygara.

— A twego ojca nie ma?

— Nie ma, w domu go zostawiłem.

— I dać tu autonomję narodowi, kiedy z niej korzystać nie umie! Wszak wujaszek jest członkiem Rady powiatowej, powinien był zatem przyjechać... dziś posiedzenie.

— Musiał zapomnieć.

— To źle! Jeźli naród będzie w ten sposób o swoich sprawach pamiętał, to i starostwo nie będzie mogło dla niego nic uczynić. A czemu ty mu Rysiu nie przypomniałeś?

— A czy nie wiesz Zygmusiu, że ja ciągle na wózku? Niedawno ze stolicy wróciłem... zresztą nikt mi nie mówił, że dziś posiedzenie Rady, sam bowiem do niej nie należę.

— O! musimy cię wybrać, musimy! Kto ma taką jak ty głowę, powinien dla narodu pracować.

— Jeźli tylko ta praca przyda się na co.

— Czemu by się nie miała przydać... Aha! dobrze że cię widzę. Powiedz mi Rysiu, jak ci tam idzie z twoją praktyką lekarską?

— Już o niej wiesz?

— Piękny by ze mnie był starosta gdybym nie wiedział, co mój naród porabia. Słyszałem nawet, że chociaż nie masz dyplomu austrjackiego, od pacjentów bierzesz pieniądze, co w języku urzędowym nazywa się *Curpfuscherei* i za co można dostać się do kozy.

Ryszard o krok się cofnął i mimowoli się przeżegnał.

— Ja biorę pieniądze?

— Cha! cha! cha! — na głos cały starosta się roześmiał — a tom cię przestraszył! No nie bój się mój Rysiu, chociaż nie zaszkodzi gdy się dowiesz, że nasz lekarz powiatowy, ten mały rudy

żydek, który ze starostwa właśnie wychodził, gdyś ty zajechał, umyślnie takie plotki rozpuszcza.

— Zapewne lęka się, bym mu pacjentów nie zabrał.

— Ma się rozumieć! Przecie naród woli, nic nie płacić i być zdrowym, niż leczyć się za drogie pieniądze i umierać śmiercią gwałtowną! Kazałem też powiedzieć zacnemu eskulapowi, żeby trzymał język za zębami, bo inaczej ja sam pociągnę go przed kratki za oszczerstwo.

Czas jakiś kuzynowie rozmawiali jeszcze o tym przedmiocie, poczem Ryszard wspomniał o scenie, której rano był świadkiem.

— Bardzo to o tobie pięknie świadczy mój Rysiu, żeś za nich zapłacił, lecz wierz mi, największe nawet miłosierdzie nędzy nie zapobiegnie. Z początku i jam się litował i za wielu płacił, wkrótce atoli przekonałem się, że dalej tak postępując, ich nie ocalę, a siebie zgubię. Bieda mój kochany jest powszechna. Nie ma dnia, żeby odemnie nie żądano paszportów emigracyjnych.

— A jaka jej przyczyna, nie wiesz?

— O ile mi się zdaje, największa wina cięży tu na karczmie i lichwie żydowskiej, która jeżeli prędko nie będzie zniesiona, wszyscy nasi chłopi pójdą z torbami.

— Czy innych przyczyn nie widzisz? Tych, któreś wymienił, nie uważam za dostateczne.

— Ja innych nie widzę, chociaż nie twierdzę by nie były... Szukaj ich więc Rysiu, szukaj, a może obadwa na tem skorzystamy. Tobie powinno by to przyjść łatwiej, boś przecie filozof! A propos żydów, czy dałbyś wiarę, że ten hultaj Stern napisał do *Neue freie Presse*, że ja żydów prześladuję i jestem nieprzyjacielem konstytucji?

— Na ciebie? Ciekawym za co.

— Za to, że podczas poświęcenia kaplicy Św. Jana na drodze ludaczowskiej, kazałem mu zdjąć kapelusz i cygaro z ust wyrzucić. Ręczę że będę miał dochodzenie, bo panowie wiedeńscy bardzo na to czuli, co *Neue freie Presse* pisze.

— Nie spodziewam się jednak by ci to mogło szkodzić.

— Ja się też z tego śmieję mój kochany, chociaż z drugiej strony smutno pomyśleć, że żydowstwo tak się już u nas rozwielmożniło. Na czem to się skończy!

— Więc ty żydów nie lubisz Zygmuncie?

— A któż ich u nas lubi! Chyba ten, kto ich całkiem nie zna, kto pozory bierze za treść, kto z kilku wyjątków dodatniejszych chce korzystnie sądzić o całem społeczeństwie żydowskiem, lub nareszcie ten, kto w chorobliwej swojej wyobraźni, uważa ich za naród nieszczęśliwy i tułaczy, szukający napróżno przystani i pokoju. Co do mnie Ryszardzie...

Starosta nagle uciął, we drzwiach bowiem ukazała się imponująca postać marszałka, za jego zaś plecyma mniejsze figury panów radców powiatowych.

Skończywszy posiedzenie, które dziś nadspodziewanie krótko trwało, przyszli jak według zwyczaju odwidzić kochanego starostę. Ten z wielką uprzejmością przyjął gości szanownych i posadziwszy ich gdzie mógł, jednych na kanapie, drugich na krzesłach i fotelach, rozpoczął pogawędkę. Niech atoli nikt nie sądzi, że to cała Rada przyszła. Ci, których u niego widzimy, to sama szlachta. Natomiast chłopi i księża ruscy rzadko się u niego pokazują, odkąd bowiem tu przyjechał, księża powtarzają, że „Starosta z Lachami trzyma.“

Już od kilku minut rozmowa się toczyła, gdy do biura weszła nowa postać, której się najmniej spodziewano.

Był to pan Jakób Stern.

Miał na sobie długi zwierzchni surdut, z postawionym do góry kołnierzem, na nogach zabłocone kalosze z cholewkami po kostki, w ręku parasol, z którego woda na posadzkę woskowaną ciurkiem ściekała, w ustach cygaro. Obecni oniemieli. Żaden z nich, mimo że starosta był ich przyjacielem, nie byłby się odważył wejść do niego w takim stroju. Co do starosty, ten oburzony arogancją żyda, nie wiedział na razie co z nim zrobić, i czekał żeby on sam pierwszy przemówił.

Stern nie namyślał się długo.

— Panie starosto! — zaczął głosem prawie rozkazującym — ja tu przychodzę w sprawie bardzo ważnej. Straszne rzeczy dzieją się w naszym powiecie, niedługo ludzi będą zabijali!... Dziś rano jak rabin ludaczowski szedł do bożnicy, te gałgany studenty tak się z niego śmieli, że się aż przestraszył, a potem zebrali się i zaczęli na bożnicę rzucać kamieniami.

— I cóż dalej? — starosta spokojnie zapytał, obojętnego udając.

— Co dalej? Co ma być jeszcze? Czy nie dosyć? To gwałt, rozbój! Przecie my żyjemy w Austrji, w państwie konstytucyjnem, w którym

wszystkie religje są równouprawnione! To jest *eine wahre Judenverfolgung*!

— A więc jeżeli jaki lampart śmieje się z rabina, lub kamykiem na bożnicę rzuci, u pana nazywa się to zaraz prześladowaniem żydów, a jeżeli pan sam w kapeluszu na głowie i z cygarem w ustach urągasz nabożeństwu katolickiemu, nazywasz to niczem...

— Panie starosto! — usiłował Stern przerwać.

— Poczekaj pan, jeszcze nie skończyłem. Całem postępowaniem swojem okazujesz panie Stern, że jakkolwiek nazywasz się bezwyznaniowym, radbyś do tego doprowadzić, żeby kościół żydowski zapanował nad chrześcijańskim. Mam jednak w Bogu nadzieję, że to nie nastąpi, a teraz życzę ci panie Stern z oburzeniem to miejsce porzucić, w przeciwnym bowiem razie...

— Co to jest, panie starosto?! Pan znieważa mnie, obywatela kraju, przyjaciela *des Baron* Rothschild *und des Baron* Todesco?! Ja pojadę do Wiednia, ja znajdę sprawiedliwość!

— I abyś pan tem prędzej mógł do Wiednia wyjechać, radzę ci wyjść natychmiast, bo inaczej przywołam woźnego.

Głos starosty był stanowczy, postawa jego imponująca, groźnym ruchem ręki drzwi pokazywał. Stern zbladł, wargi mu drżały, oczy krwią zabiegły, parasol w ręku dygotał.

— Dobrze panie starosto, ja teraz pójdę, ale ja to popamiętam! Do widzenia panie starosto, do widzenia!

To powiedziawszy jak opętany wybiegł z kancelarji.

Dopiero po jego odejściu marszałek, Ryszard i inni panowie, zbliżyli się do starosty, by mu wynurzyć swoje uznanie i starać się go uspokoić. Bądź co bądź przykra ta scena musiała i jego poruszyć. Widzieć żyda wchodzącego jak do karczmy i to tego samego, który ukrywszy się pod anonimem, kilka dni temu napadł go niesłusznie w *Neue freie Presse*; słyszeć z jaką arogancją przemawiał, i udać że się nic nie widzi i nie słyszy, zaiste na takie bohaterstwo nie mógł się zdobyć Zygmunt Grabowski. Lubo wiedział, że żydzi są wszędzie wielką potęgą, w Austrji zaś jeszcze większą niż gdziekolwiek indziej, nie poniżył się przed Sternem i odważnie rzucił mu rękawicę.

— Oto panowie — rzekł po chwili — do czegośmy doszli — żydów równouprawniając!

W ustach urzędnika państwowego okrzyk ten dawał wiele do myślenia.

ROZDZIAŁ IX.

NA KŁADCE.

Deszcze ustały, wypogodzone niebo zaczęło się uśmiechać, ptaszęta, które dni tyle ukrywały się w dziupłach drzew i po gęstwinach, uszczęśliwione słońca promieniami, nuciły jak dawniej pieśni radośne. W naturze była więc radość, tylko nie między ludźmi. Tyfus głodowy zamiast ustawać, raczej się wzmagał i co dzień liczniejsze ofiary porywał. Najwięcej chorych było w Woli Ludaczowskiej. Dla czego właśnie tam, nie gdzie indziej, nikt nie umiał wytłumaczyć. Lekarz powiatowy, ów żydek rudowłosy, o którym starosta wspominał, przyjeżdżał co dni kilka, ale epidemja jakoś się nie zmniejszała. Zresztą czy mogła się zmniejszyć, skoro zacny eskulap nigdy do chaty chorego nie wchodził, tylko przez okno badał stan jego i potem na chybił trafił lekarstwa zapisywał. Już to odwaga nie należała do cnót pana doktora. Gdy słabość była lekka, a pacjent miał gotówkę, lubił całemi godzinami siedzieć przy jego łóżku, badać puls i głowę potrząsać, co miało znaczyć, że choremu wielkie grozi niebezpieczeństwo. Zato ilekroć wybuchła cholera, lub zawitała jaka inna epidemja, naprzykład tyfus albo ospa, szanowny eskulap rozmawiał z chorymi wieśniakami zawsze przez okno i do tego za pośrednictwem osób trzecich.

Stern był zatrwożony. Księża przyjeżdżający do wsi z Wijatykiem, płacz kobiet i dzieci, huk dzwonów pogrzebowych, zapach świec i widok trumien białych, które to z tej to z owej chaty wynoszono, wszystko do tego stopnia na niego działało, że przestał chodzić do młyna, a wyjeżdżając wybierał drogi poboczne, które uważał za bezpieczniejsze. Jako człowiek prawdziwie realny, bał się utracić życie, o którem wiedział, jakie jest, dla ideałów pozagrobowych, których nie rozumiał, więc i nie pragnął. Zamknięty po całych dniach w domu, żądał teraz od córki, by mu ciągle grała bądź walce Straussa, bądź operetki Offenbacha, bo tylko to jedno umysł jego rozrywało.

Co do Róży, ta powodowała się woli ojca, wszakże stokroć była szczęśliwszą, jeźli on z domu wyjeżdżał. Wtedy z psem i koszykiem w ręku wybiegała do chorych, niosąc im leki, żywność i pociechę. Gdy matka raz i drugi w tem jej przeszkodziła, zaczęła przemyśliwać nad sposobami jakby jej czujności uniknąć i po niejakim czasie wybornie jej się to udawało. Powoli z wprawy korzystając, poczęła nawet wtedy wychodzić, gdy ojciec był w domu, wolała bowiem narazić się na gniew jego, niż chorych bez opieki zostawić. Nieraz w duchu się pytała, czy nie grzeszy przeciw Bogu rodziców nie słuchając, i o dziwo! lubo religja, której ją uczono, zdawała się to potwierdzać, jej sumienie przeciwnego było zdania. Wszak słyszałaś na pensji — wtedy jej mówiło — jak ksiądz katolicki ucząc panienki religji powtarzał, że bez woli Boga ani wróbel z dachu, ani włos z głowy człowiekowi nie spada. Jeźli więc tak jest, to czyż dla tego, że chorych odwidzasz masz koniecznie przynieść zarazę do domu? Gdyby tak było, to chyba podczas każdej epidemji umieraliby wszyscy lekarze. Tymczasem dowiedzioną jest rzeczą, że najczęściej na choroby zaraźliwe tylko ci zapadają, którzy się ich bardzo boją, przeciwnie ty wcale się nie boisz...

Tak Róża rozumowała, i w sumieniu swojem uspokojona szukała codzień nowych chorych.

Ojciec widząc to rozpaczał; matka zaś podrażniona córki oporem oświadczyła mężowi, że trzeba ją na klucz zamykać. Myśl ta podobała mu się w pierwszej chwili, gdy jednak Rózia oczy niebieskie ku niemu podniosła, nie odważył się zrobić jej takiej przykrości i wszystko szło po dawnemu. Cokolwiek Sternowi można było zarzucić, nikt jednak nie śmiałby utrzymywać, że nie był dobrym ojcem. Przeciwnie można by raczej powiedzieć, że był słabym. O córce zdawał się tylko myśleć, dla niej pracować i w niej też widział najwyższą doskonałość. Na świecie nie było od Rózi panienki piękniejszej, rozumniejszej i delikatniejszej. Szczególnie ten ostatni przymiot tak się Sternowi podobał, że przy każdej sposobności podnosił go ze szczególnym naciskiem.

Tak więc Rózia i wśród teraźniejszych niebezpieczeństw chorych odwidzała, a ojciec nie mogąc jej odwieść od tego, przypisał tylko pewne środki ostrożności. I tak ilekroć ze wsi wracając do pokoju wchodziła, Marysia ziołami przeróżnemi z wszystkich stron ją obkadzała. Prócz tego musiała sobie także twarz i ręce obmywać winnym octem. Dziewica nie tylko się temu nie sprzeciwiała, owszem śmiejąc się czyniła zadość woli rodziców.

Nieszczęścia i zmartwienia lubią chodzić gromadnie. Jakób Stern doświadczył teraz tego na sobie. Z jednej strony przestraszała go epidemja, z drugiej do najwyższego stopnia niepokoiła go awantura, którą miał w starostwie. Gdyby to choć było nastąpiło w cztery oczy z samym starostą, nie byłby sobie z tego wiele robił i jak już nie raz w życiu, byłby i tę nową obelgę do kieszeni schował; wszelako tym razem zniewagi była świadkiem większa połowa Rady powiatowej. Czy mógł zatem nie martwić się, on, ten Jakób Stern, który od lat kilku usilnie o to się starał, by szlachta w powiecie za przyjaciela go uważała, on, ten Stern, który oddawna nosił się z myślą ubiegania się o mandat poselski? Nie ambicja zatem żądała od niego, by się na starostę gniewał, lecz dobrze zrozumiany interes.

W pierwszej chwili chciał do Wiednia pojechać, aby osobiście starać się o ukaranie zuchwałego starosty, wszakże gdy z tym zamiarem zwierzył się przed swoim sekretarzem, ten wcale go nie pochwalił.

— Czemu to ma być złe? Czy pan myślisz że ja we Wiedniu nie mogę więcej zrobić niż każdy inny? Oho! już ja jego nauczę!

— A mnie się zdaje — garbus odparł spokojnie — że starosta mając silne plecy tak w ministerjum jak w namiestnictwie, wyjdzie z tej sprawy bez szwanku.

— Co, bez szwanku? Zobaczymy czy bez szwanku! Pan myślisz że tacy wielcy panowie jak baron Rothschild i baron Todesco, to nic? Ojoj! oni wszystkich mają tu!

To powiedziawszy, uderzył się po kieszeni. Garbus zrozumiał co to znaczy, a chociaż może niezupełnie słuszność mu przyznawał, z życzliwości dla starosty, którego poważał, a który bądź co bądź mógł mieć wielkie nieprzyjemności, jeźliby Stern zawziął się na niego, postanowił zażyć go w inny sposób.

— Przypuśćmy wielmożny panie — rzekł — że zabiegi twoje zostaną pomyślnym skutkiem uwieńczone, jakiż wtedy będzie rezultat?

— Przeniosą go ztąd, a ja chcę tylko tego. Niech sobie idzie, niech ja go więcej nie widzę!

— A więc dobrze, starostę przeniosą, pana

zaś cały powiat znienawidzi i ma się rozumieć że na czele nieprzyjaciół swoich będziesz widział samych szlachciców.

— Za co mnie mają nienawidzieć? Czym ja kogo zabił? Czy ja może za wszystko gotówką nie płacę?

— Tak jest, znienawidzą pana, ponieważ starosta jest z niektórymi skoligacony, a z wszystkimi zaprzyjaźniony.

— A więc dobrze, niech i tak będzie... *es ist mir alles Wurst!*

— O ile mi się jednak zdaje, wielmożny pan nie chcesz skończyć swojej karjery w Woli Ludaczowskiej i marzysz o działaniu na szerszej widowni...

— A gdyby i tak było?

— Po zrażeniu sobie szlachty, która po dziś dzień w Galicji rej wodzi, karjera polityczna będzie dla pana na wieki zamknięta. Szlachta nigdyby nie przebaczyła, że jeden z ich krewnych i przyjaciół miał przez pana nieprzyjemności.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NA BŁĘDNEJ DRODZE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Zdawało się że w wymówieniu ponurem i jakby ironicznem owego słowa: „zabić“ była przymówka do owego uderzenia nożem przez pana de Moranes.

Tak się przynajmniej Ablowi zdawało. Zaczerwienił się krwawo, łzy oburzenia cisnęły się do ócz i odparł:

— A, panie! nie zmuszaj mnie pan, abym odkrył przyjaciołom pańskim powód nienawiści mojej! Skoro pan Courberon go znał, więc może i oni się domyślają? Zdaje się że to tajemnica publiczna. Oni przyznają mi racją, że chcę się zemścić za ojca, którego chciałeś zbezcześcić, za matkę, którą zgubiłeś, zabiłeś.

Somery zakrzyknął boleśnie. Abel przerwał.

— O, wiem dobrze, że pan nie uderzyłeś, ale pan uzbroiłeś mego ojca w ową złość okrutną, pan go mordercą zrobiłeś! z twej przyczyny gonił za ofiarą aż do rzeki, w którą wpadła. Ojciec był sędzią pan jesteś zbrodniarzem.

Somery nie pochylił czoła pod tem przekleństwem synowskiem; zdawało się nawet, że jakaś jasność przebiegła mu po twarzy. Spoglądał w dal przed siebie i w górę ku niebu.

Abel mówił dalej:

— Czy sądzisz pan, żeś dopełnił zbrodni? Ponieważ małżonka, matka umarła, sądzisz, że nie masz już nic do naprawienia?

Somery spojrzał na niego zdziwiony.

— Nie mówię o sobie, jestem mężczyzną a więc mogę znieść boleść i smutek, nie wykraczając ani przeciw obyczajom, ani wystawiając się na pogardę świata, alc moja siostra, biedne dziecko, które widziało tę morderczą scenę!

Somery przymknął oczy. Pomimo całej jego woli usta mu drżały.

— Wystaw pan sobie położenie Blanki w owym domu samotnym bez matki, którą w jej oczach zabito; wegetuje i cierpi od dwunastu lat, prześladowana tym obrazem, wystawiając sobie czasem, że to, co widziała było snem, że jej matka żyje jeszcze, że może powrócić, a dręczona tą niepewnością siostra moja umiera... Za kilka miesięcy już jéj nie będzie a pan nie chcesz, abym ją pomścił?

Abel zmiękł pomimowoli, mówiąc o Blance, gniew ustępował a pan de Somery przysłaniając spuszczone oczy, aby nie okazać, że były wilgotne, miał na ustach uśmiech promienny.

Abel omylił się tym razem.

— Widziałeś pan zapewnie Blankę w Boulogne — mówił dalej — przyszła do siebie u wód i nie była tak znękaną, jak ją wczoraj znalazłem... nie wierzysz mi pan... A! bo pan nie wiesz, jak dalece jesteś dla niej okrutnym i jak ją stopniowo zabijasz. Tak, tutaj, dokąd ją ojciec po zdrowie wysłał, ożywiła się nadzieją; niestety, niezwykłą dla niej nadzieją szczęścia, pociechy, zdrowia... podobała się i została pokochaną przez młodego człowieka z dobréj rodziny, który stałby się niebawem moim bratem, gdybyś pan nie był zniszczył całej naszej radości... Czy pan wiesz, co wczoraj ów młody człowiek przyszedł powiedzieć Blance?.. że jego rodzina, poczciwa, dumna, nie chce, aby syn z takiego domu żenił się z córką wiarołomnej matki i ojca mordercy... O to, co powiedział siostrze mojej, może i jego będę musiał pociągnąć do odpowiedzialności za wyrządzoną nam obelgę. Blanka umrze. Będzie to ostatnia pańska ofiara... Widzisz pan dobrze, że obowiązkiem moim jest zabić pana. Może będą się litowali nad nami, skoro się pomścimy. Może los tak panu posłuży jak z Courberonem. Ale panie, nie wahaj się, idź, powiedz twoim świadkom, żeśmy się porozumieli i że nadto się nienawidzimy wzajemnie, aby pojedynek mógł być wstrzymany; musi się odbyć natychmiast.

Od kilku chwil Somery, słuchając słów Abla, wstrząsających nimi do głębi duszy, rozmyślał; jego lica się

zarumieniły, już nie uśmiechał się ani nie miał łez w oczach; roztwierał je szeroko i spoglądał, wyprostowany, dumnie na cienie drzew w alei, jak gdyby chciał wywołać z pośród nich świadka, któryby był innym jak świadkowie pojedynku.

Odpowiedział Ablowi:

— Panie przyjmuję pojedynek...

— A!

— Lecz w imię wszystkich bolesnych wspomnień, które wskrzeszasz, w imię twej siostry, którą trzeba ratować, stawiam jeden warunek..

— Jaki?

— Aby odwlec pojedynek.

— To niemożebne.

— Mówię panu, że to konieczne... Ściągnąłbyś pan na siebie zbyt wielką odpowiedzialność, nie pojedynkując się ze mną dziś lub jutro, lecz zabijając mnie. Jeżeli ja byłem przyczyną wielkiego nieszczęścia, to pan ze swej strony sprowadzisz ową śmierć, której się obawiasz a którą ja mogę... mam przynajmniej nadzieję, powstrzymać.

— Jakto?

— To tajemnica moja... Nie potrzebuję ani tłumaczyć się z przeszłości ani uniewinniać się... Są rzeczy których nie możemy tykać pomiędzy sobą. Pozwalam na wszystko pańskiej zemście, sprawiedliwości; przyjmuję cały ciężar, a pan widziałeś wczoraj, gdy po owém wylaniu przyjacielskim, do którego sympatja wspólna nas pociągnęła, musiałem cofnąć rękę na odgłos nazwiska pańskiego, jak bardzo czułem się nieszczęśliwym i ukaranym. Ah panie! czy sądzisz, że i ja od dwunastu lat nie noszę żałoby w duszy i nie dźwigam ciężkiego wyrzutu? Nie żądam od pana ani litości ani przebaczenia... Nienawidź mnie z całej twej duszy, ale pozwól, abym naprawił to, czém nasycisz się więcej, niż śmiercią człowieka złamanego życiem... Zgadzasz się pan na to?

Abel, zawstydzony wyższością i godnością pana de Somery, wyszeptał tylko:

— Chcesz pan naprawić?

— Sądzę — odparł Somery — że jest możliwem jeżeli nie wymazać przeszłość to przynajmniej nie pozwolić, aby nieszczęście stało się większem. Daję panu słowo honoru... Pan przecież przypuszczasz, że jakkolwiek występnym jestem, zawsze jeszcze słowo honoru dać mogę.

Abel skłonił się.

— A więc, przysięgam na honor, że chcę pana zadowolnić więcej, niż możesz sobie to wystawić... Nie pytaj mnie pan. Zezwól na tę zwłokę, o którą cię w imię siostry twej błagam.

Abel był dziwnie pomięszany.

Nie mógł wątpić ani o prawości ani o odwadze pana de Somery

Przystać na jego prośbę, było to więcej niż uchyleniem czoła przed tą prawością; było to przypuszczeniem, że człowiek ten, który wprowadził zbrodnią i wstyd do rodziny Moranów, mógł naprawić złe, sprowadzając szczęście dla Blanki.

Jednakże co począć? Z góry zastrzegł się przed wszelkiem badaniem. Więc czy można było pozwolić na zwłokę? Jeżeli Abel go zabije lub rani, bo naturalnie Somery bronić się nie będzie, czy wtenczas szczęście siostry zapewnionem zostanie? Tylko to jedno przygłuszało wszelką chęć zemsty. Wierzył w to, co powiedział, że tak ojciec jak on sam mając siłę do zniesienia tego ciosu, ale Blanka mogła uledz; więc czyż tak bardzo miał kochać siostrę, aby jej nawet swą nienawiść, zupełnie usprawiedliwioną miał poświęcić.

Nienawiść! Dziwna rzecz, Abel w obec tego człowieka, który go zachwycił wczoraj na pierwszy rzut oka i który dawniej zachwycał i ojca, ulegał mimo woli sympatji, na którą się oburzał, której jednak nie mógł pokonać. Somery nie był ani hipokrytą ani tchórzem. Z jego twarzy, czoła, oczu, tryskała szczerość, prawość, smętna melancholja, które chociaż go nie uniewinniała, ale pociągała ku niemu.

Abel uważał się za stałego w swém przywiązaniu synowskiém. Był uzbrojony myślą sprawiedliwości i kary. Czy posiadał jednak taką znajomość życia, jak ten człowiek z wielkiego świata, który mu imponował w téj chwili ową obietnicą rehabilitacji, której ani on ani jego uczony ojciec nie mogli wymyśleć? Nauki nauczyły ich obydwóch, że trzeba nie dowierzać. Co jest nieuniknionem, nie jest także do naprawienia.

Pan de Moranes wyznał w swojem opowiadaniu, jak był nieświadom uczuć wszelkich. Czy Abel mógł być tyle zarozumiałym, że potęgę swego gniewu mógł przeciwstawić dyplomacji owego światowca pełnego uroku? Czy mógł odrzucić ofiarę, on, nie wiedzący, jakim sposobem uratować siostrę, skoro to tylko na zwłoce polegało?

Wpływ, jaki ów obcy na nim wywierał, uzupełniał jeszcze złość jego.

— Zabiję go z tém większą radością — myślał Abel, ulegając myśli, że go nie może zabić.

— Niech i tak będzie — rzekł podnosząc głowę, którą miał spuszczoną, aby okazać się równie zimnym jak przeciwnik. — Przystaję na zwłokę.

— Dziękuję panu — zawołał pan de Somery z wyrazem serdecznym.

— Kiedy się dowiem, że pan jesteś do mojej dyspozycji? — zapytał Abel z obawy, że za prędko się zgodził.

— Za kilka dni... za tydzień, żeby czas oznaczyć!

— Dobrze, panie. Do tego czasu poszukam sobie świadków. Gdzie mają z pańskimi się porozumieć?

— Ja sam, panie de Moranes, dam znać panu.

Już nie mieli nic więcej sobie do powiedzenia. Skłonili się i zbliżyli do świadków i rannego.

Juliusz Courberon, który był zemdlał po otrzymaniu rany, odzyskał teraz przytomność. Opatrzono spiesznie ranę. Podniósł się i lekarz pomagał mu się ubrać, aby

go do stojącego w pobliżu powozu zaprowadzić. Był bardzo blady. Gdy zobaczył Abla de Moranes, uśmiechnął się lekko i przywołał go skinieniem.

— Wybacz pan — rzekł z wysileniem — że będziesz musiał czekać.

— Zaczekam! — odparł cicho Abel kłaniając się.

Courberon spojrzał na pana de Somery.

— To honor dla mnie, o którym nie zapomnę, panie de Somery. Obawiałem się, żebyś mnie pan nie chciał oszczędzać. Dziękuję.

Somery z grzeczności przyjął na siebie tę odpowiedzialność, chociaż te słowa go upokarzały, bo wszakże to Abel był winien, że tak się spotkanie zakończyło.

Tymczasem Abel powrócił do czekającego nań powozu.

— Pan nie miał czasu zobaczyć kolumny — zapytał woźnica.

— Prawda. Zostawmy to na inny raz! — odrzekł obojętnie Abel.

Ta nowa tajemnica ogłuszała go. Gniewał się, że się nie bił a ożywiał nadzieją uderzony owem spojrzeniem radośnem, serdecznem pana de Somery, gdy zezwolił na zwłokę; to spojrzenie było, nie mógł wątpić, obietnicą pomyślną dla niego, dla siostry, jeżeli nie dla ojca. Myślał mimowoli o szlachetności i całej pełnej godności osoby pana de Somery i porównywał go z panem de Moranes a bał się, żeby nie został zmuszonym uniewinniać tej, która cierpiała w skutek ekscentrycznego egoizmu i pozwoliła pocieszać się przez tę naturę delikatną.

Pytał się siebie, czując, że gniew jego słabnie, czy matka istotnie winną była? Bo pan de Somery nie okazywał niczém, aby był zdolnym do zdrady lub uwiedzenia. W godzinę po tém wracał Abel do domu ojcowskiego, pozwalając koniowi iść stępo.

W połowie drogi spotkał powóz, Piotr siedział na koźle a ojciec był zagłębiony wewnątrz. Stary stangret zobaczył Abla z daleka i przestrzegł pana de Moranes.

Powóz się zatrzymał. Archeolog wysiadł spiesznie i pobiegł naprzeciw syna.

— Zabiłeś go! — zawołał.

— Nie.

— Nie spotkałeś się z nim?

— Owszem.

— Co więc zaszło?

— Nic, nie biłem się.

— Nie przyjął pojedynku?

— Prosił o tygodniową zwłokę.

— A!

Pan de Moranes zdawał się być zdziwionym, po chwili jednak namysłu wykrzywił śmiechem usta.

— Więc za tydzień z pewnością się stawi?

— Tak, mój ojcze.

— Wtenczas zakazuję ci pojechać bezemnie, rozumiesz? Byliśmy w wielkiej obawie!... Wracajmy na śniadanie, Blanka rozpacza; panna Dusmenil schnie z ciekawości, co zaś do mnie, straciłem cały poranek... Piotrze, popędzaj konie!...

Uczony wsiadł do powozu równie spiesznie, jak zeń wysiadł. Piotr zawrócił a Abel podciął konia, aby ich dogonić, zdecydowany rzucić się ojcu na szyję za przybyciem do pałacu, tak go serdecznie kochał w téj chwili, tak był przezeń kochanym. Ta podróż pana de Moranes zdradziła go i więcej była wartą niż wszystkie błyski sympatji, okazujące się w oczach pana de Somery.

Rzeczywiście było świętokradztwem zazdrościć tamtemu. Szorstki, na pozór zimny uczony był wart tyle, co tamten człowiek światowy, dystyngowany, sympatyczny. Serce, rozum, sprawiedliwość były po stronie rodziny.

Za tydzień pan de Somery doświadczy tego!

X.

Niedaleko od Montreuil nad morzem, w ślicznej dolinie la Canche, wznosi się pomiędzy obszernym dziedzińcem a dość rozległym parkiem budynek wielki i czysty konstrukcji prostej lecz poważnej, regularnej. Lud okoliczny pałacem go nazywa na pamiątkę dawnego pałacu, który na tém samem stał miejscu. Sąsiedzi przez zazdrość nazywają go szpitalem lub domem poprawy, chociaż nie jest ani pałacem, ani szpitalem, ani więzieniem, choć jest otoczony parkiem dobrze utrzymywanym, choć pielęgnują tutaj chorych a nie można się doń dostać, zanim się przez indagacją nie przeszło.

Jest to zakład wychowania publicznego w którym dzieci obojga płci, dochodzące do lat piętnastu, schwytane na włóczędze a nie reklamowane przez rodziców, wychowują się, kształcą i przysposobiają do jakiegobądź rzemiosła i dalszego życia.

Budynek jest mimo swej skromności wygodny. Jego fundator nie starał się nigdy o Monthyona. Został udekorowanym z innego powodu, zanim ten zakład ufundował. Sędziowie, wyrokujący o losie dobrowolnych włóczęgów czy też sierót biednych, znają dobrze ten dom, lecz publiczność go nie zna. — Wyświadczają tu dobrodziejstwa a nie chwalą się z tego.

Pan de Rosey założył go przed piętnastu laty i poświęca nań część swego majątku. Ów zakład przynosi jednak także pewną sumę. Praca dzieci dobrze prowadzona i nie skierowana na niepotrzebne rzeczy dostarcza części funduszów na utrzymanie.

Pan de Rosey nie zasadza swej ambicji na rozgłosie utrzymuje więc dom wedle możności. Nie żąda żadnej subwencji rządowej, nie odzywa się do składek publicznych, bo nie chce uczyć swych małych wychowańców żebractwa. Postępuje sobie z tą rodziną, którą mu nieszczęście daje, jak z własną rodziną. Daje jej swobodę a cieszy się, gdy uratuje z jakie sześćdziesiąt dzieci, gdy pokona w nich zaród fizyczny, intelektualny i moralny, mogący być ich zgubą; wtenczas powtarza: „niech inni też tak robią, albo lepiej!“ Pan de Rosey, jak powiedziałem wyżej, pochodzi z dawnéj rodziny

biurokratycznéj. Powołanie do prawa było dlań dziedzicznem, więc tak naturalném, że nie potrzebował ani namyślać się, ani radzić kogobądź, by swoje zajęcie wybrać. Zostawszy w swoim czasie adwokatem, został później mianowany sędzią, wreszcie prezesem wydziału karnego. Zadawalniał się tem mimo zachęty ze strony pani de Rosey, która jako także córka prawnika przypomniała sobie dziadka, który był kanclerzem i marzyła nieraz że męża ujrzy w owym gmachu na placu Vendôme przed ślicznie wykładanym biurkiem, które służyło, jak mówią, Ludwikowi XVI. a dziś służy strażnikom pieczęci rzeczypospolitej.

Wykształcona, inteligentna, liberalnych zasad ale dumna i rządząca się przesądami odziedziczonemi wraz z portretami po członkach parlamentu, pani de Rosey prowadzi dom otwarty w Paryżu, a salon jej, chociaż nie przystępny dla wszystkich, podejmuje gościnnie bardzo doborowe towarzystwo... Tutaj rozbierają swobodnie rzeczy naukowe; mówią o polityce, zachowują miarę dobrego wychowania, oceniają bez uprzedzenia i bez zaślepienia ludzi stojących obecnie u steru. Portret księcia Orleans wisi obok portretu Ludwika XVIII. a popiersie Lamartina, wykute przez hrabiego d'Orsey z marmuru stoi naprzeciw małej statuetki z pianki morskiej ostatniej cesarzowej.

Oszczerstwo, którem się zwykle posługują umysły nizkie, nie ma przystępu do owego salonu, w którym więcej rozprawiają niż opowiadają; rozmowa nie potrzebuje się niem zasilać! Co najwięcej jaka dowcipna plotka zabłąka się do herbaty, którą podają na końcu posiedzenia; jednak ta złośliwość zadraśnie tylko lub ukłuje nie raniąc nigdy i to jeszcze jakie osobistości obojętne. Potrzeba pokazać czasem tym, co nie rozumieją, że można być prawdziwie dobrym i szlachetnym trochę złośliwości.

Ów salon jest połączeniem wszelkich partji, nie wyłącznie duchownego, przejętego dawnemi przesądami, któremu nie biorą za złe, gdy nie umie się pogodzić ze stanem rzeczy dzisiejszym!

Pan de Rosey, przypominający niby Karola V. jest legitymistą, pani podziela przekonania męża; małżonkowie nie spieszą się dostać na dwór wnuka Ludwika Filipa, chociaż w pierwszych latach małżeństwa byli na dworze dziadka jego.

Nie potrzeba im ani licznych przyjaciół, ani krzykliwych nieprzyjaciół; ich drzwi otwarte dla tych, którzy sami się uszanowali więc nie eksploatują drugich. Pochodząc z rodziny, która obracała się wśród rozmaitych partji, państwo Rosey wyznają swoje przekonania polityczne jak swą religią, nie pytając o zdanie ludzkie ani szukając ócz podziwiających ich.

Nie ma sprzeczności pomiędzy tem życiem z ową ambicją, która ożywiała panią de Rosey.

Zdawało jej się to zupełnie naturalnem że mąż ze swym rozumem i zacnym charakterem zostanie kanclerzem przy sądzie kasacyjnym, prokuratorem generalnym, ministrem. Uważała za konieczne myśleć o tej godności, tak słusznie należącej się panu de Rosey.

Czyż i tego nie powinien był zostawić synowi jako dziedzictwo? Wszakże tak działo się zawsze za wszystkich rządów?

W owym dniu jednak, gdy po pewnem zajściu, które opowiem, pan de Rosey postanowił założyć ów zakład wychowawczy dla małych włóczęgów, żona jego z całą naturalną szlachetnością abdykowała z tych myśli ambitnych. Znalazła to naturalnem i godnem przeszłości a zgadzające się z postępem czasu, że mąż jéj stanie się bohaterem miłosierdzia, skromny w obec swego dzieła, niezmordowany w swym obowiązku. Był to również stopień awansu.

Ona razem obmyśliła plan i całą budowę zakładu; pojechali razem zwiedzić kolonią w Mettray, towarzyszyła mu w podróży w okolice, by znaleźć stosowne miejsce w pobliżu morza o świeżem słonawem powietrzu.

Zakład w Berck sprowadził państwa Rosey w stronę Montreuil. Wybladłe twarze, wychudłe postacie, które sędzia widywał w domach poprawy, potrzebowały świeżego powietrza do życia. Opuszczenie i nędza sprowadzają skrofuły. Prezydent jednak obawiał się, aby jednostajność okolicy nadbrzeżnej nie wpłynęła źle na charakter dzieci, które chciano rozerwać i naprawić. Trzeba być starym, aby być starym, aby lubić horyzont otwarty, niezmierzony.

Otóż dla czego pan de Rosey kupił mały pałacyk, z którego zrobił główne skrzydło zakładu, w ślicznej dolinie w bliskości morza. Tym sposobem mali pacjenci, chorzy na ciele i duszy mieli powiew morski ożywczy i miłą zieleń drzew, pól i łąk.

Pani de Rosey podobało się również to miejsce i chciała z własnego majątku dorzucić cośkolwiek do dzieła mężowskiego, zostawiając mu całą zasługę. Jego udział ograniczał się na częstem zwiedzaniu zakładu. na przeglądaniu rachunków. Ona spędzała co rok w różnym czasie, kilka dni lub kilka tygodni w tym domu przytułku. Był to niejaki zakład pobożny, schronienie ludzkości. Ona tutaj wypoczywała po Paryżu a po spełnieniu kilku dobrodziejstw, rozdaniu pewnych nagród według swego wyboru, Paryżanka powracała sama, zostawiając tutaj męża na wakacjach, pozwalając mu, jak mówiła, przeniewierzać się.

Było pewne wyrachowanie w tém, że powracała do Paryża

Byłaby wolała pozostać tutaj dłużej, tak się jej ten zakład podobał, ale obawiała się, aby mąż zanadto nie zasmakował w swém dziele i nie poświęcił mu swego urzędu i swych stosunków paryzkich.

Pani de Rosey chciała pozostać Paryżanką i wiedziała, że mąż nie zmusi jéj do abdykacji, jeżeli tego nie zechce. Zostawiła go zatem samego w jego pobożnych wycieczkach i wzywała raz po raz na audjencje w których nowi wychowańcy przyjęci być mieli.

Na takiej jednej właśnie audjencji przyszła myśl prezydentowi po dłuższem zastanowieniu się ufundowania tego zakładu.

Nieszczęście dotknęło pana de Rosey a przez ranę otwartą światło rozlało się w nim, aby jego sumienie oświecić.

Pan de Rosey ożenił się według logiki swej pozycji. Zaślubił młodą osobę, przeznaczoną na żonę urzędnika. Oddała mu swą rękę bez gwałtownej miłości ale i bez wstrętu, jak poczciwa dziewczyna, wychowana dla obowiązku wśród obowiązku. Naturalna jej inteligencja została podwojona starannem wychowaniem a dodawała jej uroku, który ją upiększał wewnętrznie jak brylanty familijne na zewnątrz. Była szczęśliwą; nie bez pewnej melencholji, bo nie ma takiego szczęścia dla dusz czystych i wzniosłych, by wśród niego nie zbroiły się na przeciwności, na bole życia, które mogą przyjść, na które trzeba być przygotowanym.

Pani de Rosey wierzyła w miłość, jak wierzyła w pewne dalekie kraje, których nigdy przecież zwiedzić nie miała.

Gniewała się na namiętności jak na ów owoc zakazany, który nie kusił jej, który byłaby jednak pragnęła z dumą odeprzeć. Kusiciel nigdy nie znalazł się w owym poważnym salonie a poczciwa żona tego najpoczciwszego urzędnika swego czasu nie potrzebowała nigdy zwycięztwa innego odnosić nad to, które zostaje wiecznie ukrytem a okazuje się tylko w westchnieniach — które wydobywają się z tęskniącego serca.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z doli górników naszych

W UBIEGŁYM LAT DZIESIĄTKU.

All is true.

Drogą od cmętarza szedł staruszek siwy, pochylony, i wiódł za rękę małą dziecinę. Szli ścieżynką wśród pola błyszczącego jeszcze gdzie nie gdzie kwiatkami, ale już smutnymi, pochylonymi; bo je powiew jesieni z dniem każdym bardziej oziębiał...

Dziewczątko było jeszcze bardzo młode — w latach, o! jeszcze mniejszej połowie tego wiosennego życia, które później najsłodszem wspomnieniem, najpiękniejszym kwiatem marzeń, na którym łezka osiadła tylko: za utraconą zabawką, za nie spełnionem (nieraz bardzo dziwnem) życzeniem. Z chatki maleńkiej, czy z pałacu dziecię: musi tę wiosenkę tak przebyć, by siły do późniejszych walk gromadzić... A jeźli los zawistny, jeźli wyrok Boży, złamie ten hoży kwiatek powiewem śmierci, — jeźli w serduszku małem straszna otworzy się próżnia po stracie najdroższych w świecie; to sił braknie do zwalczenia trudów życia... to roślinka więdnie, smutnieje, i zwykle schyla główkę — umiera..

Dziewcze odbiegało często od staruszka i wyszukiwało w zżółkłej trawie ostatnich kwiatków, a za każdym zerwanym powtarzało: dla matuni, i to dla matuni...

Staruszek nawoływał często, stawał chwilami i czekał. Włosy miał siwe krótko obcięte, i wąsy siwe, ale twarz dziwnie była jeszcze hożą; oczy cokolwiek w głąb wsunięte, czoło ściągnięte lecz nie poorane... twarz cała głębokich rysów: znać było na niej pracę, znać żelazną wytrwałość... Był to górnik Mitawa; górnik jednej z kopalni odkrytych Kingi pierścieniem.

O! lecz nie wszyscy ci robotnicy podziemni taką, w tym wieku nacechowani są twarzą. Ciężka to praca! — za każdy grosz cząstkę życia płacić trzeba...

Bez ożywczego promienia słońca, przy migającem świetle kaganka, który często jedynym towarzyszem pracy wśród ogromnych krużganków i sklepień, gdzie szmer najlżejszy wielkim wydaje się łoskotem: rozbija górnik prawie dzień cały ściany solne, rozdziela na kruchy, a ile „kruch“ ułupie, tyle nagrody dostanie... Dlatego wszyscy co długo w kopalniach pracują, zwykle twarz mają bladą, smutną... trzymają się pochyło.

Mitawa był wyjątkiem: podziwiali go też wszyscy koledzy, znajomi... a! któżby go nie znał? Wszyscy mieszkańcy miasta B. pamiętają Mitawę od swych lat najmłodszych... był jakby drugim Nestorem... Wszyscy go znali, a kto zobaczył zbliżającą się miłą twarz staruszka biegło do niego i z radością do chaty prowadził... bo jak staruszek co poradził: to pewnie było najlepsze, a jak wieczorem przy kominku gawędzić zaczął; co się to działo w tych podziemiach przed laty? — to się go odsłuchać nie można było.

Nie minął dzień, żeby staruszek nie szedł tą drużynką... Chodził się modlić za tych co go opuścili, a których tam już dużo — dużo było; z grobu na grób przechodził: zmówił „Ojcze nasz,“ wieczny odpoczynek“... podumał, i wracał do domu... a mieszkanie jego było nie daleko... Izdebkę małą wynajmował w chatce małej i sam gospodarzył... Teraz piastował urząd dozorcy, a sześdziesiąt lat już jako górnik chodził do kopalni i znał ją tak doskonale, że wszędzie bez kaganka dojść potrafił... To też niechno się tylko kto chciał dowiedzieć; jakie tam, lub ówdzie chodniki? w jakim wiją się kierunku? zaraz szedł do Mitawy i miał wszystko, jak na dłoni... nawet wyżsi urzędnicy pytali się nie raz staruszka. Mitawa miał syna także górnikiem... Ot! wnucziątko prowadził za rękę; mógł mieszkać u syna, i byłby mu nawet wielką łaskę zrobił, bo takiego dziadunia mieć u siebie, do którego wszyscy odbywają pielgrzymkę po radę: to zaszczyt przecie!... ale Mitawa nie chciał... myślał, że im będzie ciężarem, a grosz własny miał, bo w pracy nigdy nie ustawał choć go syn nie raz prosił, by sobie po tyloletnim znoju odpoczął.

— Mam dzięki Bogu zdrowie — mówił staruszek, lepsze niż ty czasem, a ciężkiej roboty nie mam, więc inwalidą zostać nie myślę, ani na łasce u ciebie mitrężeć; ty kłopotaj się o żonę, o dziecko, a ja już o siebie potrafię i może jeszcze ciebie nie raz z kłopotu wybawię...

Oj! prawdę mówił starowina synowi, żeby się lepiej o swoich kłopotał... bo choć Jan Mitawa ciężko pracował, i troje ich tylko było (jedną mieli dziecinę Marysię) to przecież tam nie raz bieda zajrzała i gdyby nie pomoc dziadunia, byłaby się na dobre rozwielmożyła: tak, jak to ta pani lubi gdzieś zagościć to ją i święconą wodą nie wygonie! Ha! cóż robić?... przyszła czasem choroba.... pracować nie można było... „kruch“ przy końcu miesiąca było bardzo szczupło, więc i grosza nie wiele...

Staruszek stał ciągle oparty na lasce i czekał, aż Marysia wróci: bo gdzieś daleko za kwiatkami odbiegła, za wzgórek się skryła, i tylko jej głosik cichy było słychać...

— Marysiu! a chodźże! — wołał, a chodźże! matka nas tam czeka, a jak tak iść będziemy to nie zajdziemy i do ciemnej nocy... a dosyć już będzie tego zbierania.

— Idę dziaduniu! idę!... ot! już cały bukiecik... a to się matuś ucieszy. — I biegło dziewcze do dziadka.

A było to sobie ot! dziewczątko małe, dziewczątko nasze: „co to śpiewa, bo swobodne, bo wesołe i młode“...

Oczka siwe, tuzinkowe; twarzyczka rumiana; sukienka jak najskromniejsza... a paplało — paplało ciągle!... zapytywała staruszka co chwilę — dziaduniu a co to? a jak to? i kochała — kochała go bardzo! — Nic dziwnego! dziadek ją od maleńkiego robaczka na rękach wynosił, kołysał, pieścił, a teraz dogadzał... psuł nawet: kiedy tylko przybiegła do izdebki staruszka — zawsze tam coś dla siebie znalazła... a kiedy z dziadkiem poszła do miasta, to pewnie nie z próżnemi wróciła rękami, bo je dziadunio także bardzo kochał... i taka to była miłość cicha wiosenki z zimą.

Szli jeszcze długo, długo przez wilgotne pola, koło drzew bezlistnych, aż się zbliżyli do chatki małej i Marysia opuściła rękę dziadka, pobiegła przodem... a dlaczego? — słuchajcie.

Przed chatą, na ławce przed oknami, widać było już z daleka siedzącą kobietę: była to matka Marysi... Jak skoro spostrzegła idących, wstała z ławki i wyszła na przeciw; Marysia wtedy opuściła rękę dziadka i pobiegła się przywitać.

Staruszek szedł miarowym krokiem; kobieta zbliżyła się z Marysią i pocałowała go w rękę.

— Jak się macie Ojcze?... a! mam żal do was... córkę mi psujecie... Dziecko to już przecie nie jest, mogłaby coś matce pomódz: a tu dziadunio przyjdzie, weźmie i całe popołudniu przechodzi, przebiega, prześpiewa... ot! kwiatki mi przyniesła... Wolałabym ja dziecko moje, żebyś ty mi coś w domu pomogła, a do roboty się wzięła.

— Dobrze Matuniu; ale kiedy dziaduś przyjdzie, powie, żebym szła... to ja nawet nie mogę...

— No, no! daj już spokój tym gderaniom... przyjdzie czas, że i ona tobie pomoże... teraz jeszcze nie potrzebujesz, a jej nie pora... młode to przecie.

— Ej psujecie ojcze... psujecie...

— Chodź tu Marysiu!... cóż? prawda, że potrafisz pracować tak dobrze, jak teraz kwiatki zbierać umiesz i przyśpiewywać?

— Prawda dziaduniu .. potrafię... ja nawet i teraz umię trochę... ot! nim tatuś przyjdzie... zamiotę izbę... garnuszki powieszam... ogień podniecę... Chodźmy Matuniu: będziemy gospodarzyć... a jak skończę, przyjdę znowu dziaduniu do ciebie.

I wzięła matkę za rękę... weszły do chatki... a staruszek siedział na ławce przed oknami.

Słońce miało się już ku zachodowi... wśród różowych obłoczków zwolna do snu się układało...

Drogą od szybu, a przytykającą do chatki, koło której siedział Mitawa, — przechodziły gromadki górników powracających od pracy. Komu pilno było bardzo do rodziny, to tylko „Dobry wieczór,“ lub „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“ staruszkowi powiedział... ale po większej części każdy bodaj chwilkę przystanął... pogadał...

— Jak się macie Ojcze?... zdrowi? — a zaglądnijcież tam przecie kiedy do mnie...

Staruszek wszystkim odpowiadał z ochotą, z uśmiechem, serdecznie; kto rady chciał — poradził... jak gderać zaczęli — pocieszał.

— A! dzięki Bogu zdrowo się mam — a dlaczego? bo nie narzekam tak, jak wy wiecznie na biedę... Słodko tam czasem bardzo nie jest... prawda!... ale cóż? pracować a śmiać się... weselić się, jak można, to człek o biedzie zapomni.

Coraz nowe kółko otaczało Mitawę, a staruszek prawił ciągle i rozweselał oblicza...

A oblicza te były blade... Wszyscy odziani w długie surduty; przez plecy wisiała torba z narzędziami do roboty: kielnią i młotem; w ręku kaganek, i garnuszek ze strawą. Ubranie, jakie miał staruszek: koszulka ociśnięta pasem, konfederatka, — to tylko strój odświętny. Na wielkie uroczystości przybierają wszyscy strój taki, i z muzyką górniczą na czele wyruszają przed kościół... albo kiedy ostatnią usługę oddać mają koledze, w pełnym uniformie stają w szeregi, i z zapalonymi kagankami odprowadzają go do grobu... O! w dzień powszedni, przy pracy szkoda takiego ubrania! (staruszkowi wolno, bo to starszyzna: dozorca.)

W krótce z pomiędzy gromadki wybiegł młody człowiek: przez bladą twarz przedzierał się nie śmiało rumieniec i usta barwą młodości jaśniały, choć ciężka praca starła z nich kolor właściwy — i pocałował staruszka w rękę...

— Jak się masz Janie?... cóż?... dużoś tam dzisiaj urąbał?...

— O! dzisiaj bardzo dobrze poszło ojcze... już od dwóch tygodni tak mi się nie wiodło... Jakoś, jak człowiek pomyśli, że to święta nie długo: a chciałoby się coś i żonie sprawić nowego, i Maryśkę czemś ucieszyć... to doprawdy sił przybywa...

— No! chodźmy teraz do izby, bo tam już pewnie gospodynie na nas z wieczerzą czekają; gospodynie, — bo córka twoja już od dziś naprawdę wzięła się do roboty... chce matce pomagać.

Bywajcie zdrowi — rzekł staruszek do otaczających go górników — a czyja ochota, niech przyjdzie do Mitawy później... pogawędzimy trochę.

I weszli do wnętrza.

Chatka była, jak zwykle wąską sienią podzielona na dwie części. Główna izba na prawo, po której się teraz dwie gosposie krzątały, schludną była, i do stanu, do przyzwyczajenia stosownymi zastawiona sprzętami. Najważniejszym był stół drewniany na skrzyżowanych nogach z nierozłącznemi dwoma ławami, i ławką koło kominka — dobrodzieja, który gotował, ogrzewał i oświecał... a swoim migotliwym płomieniem, przy opowiadaniu starego Mitawy, jakoś tak duszę nastrajał, że człowiekowi wszystko co słyszał, przed oczami w jaskrawych barwach stawało.

Wieczerza była już gotowa, do której się wszyscy po przywitaniu serdecznem, po modlitwie, nie bez ochoty zabrali; potem usiedli koło kominka, a i przybyłych było kilku (Dolina: figurant; Radny, co tylko robotą sztucznych ogni się zajmował) usiedli słuchać staruszka... Po pracy ciężkiej odetchnęli wszyscy swobodnie... i tak to jakoś choć ubogo, nie gorzką była dolą... a szczęśliwą nawet.

*
* *

Nazajutrz mglisto było od rana, popołudniu deszcz na dobre padać zaczął i wietrzysko zimny huczał, bijąc kroplami o szybę... Było tak koło piątej godziny... W izbie krzątały się Marysia z matuchną, i gospodarzyły przyśpiewując; porządkowały najpierw chatę: Marysia szurowała miotłą po izbie... niebardzo to prędko i zgrabnie, ale zawsze, jak mogła pomagała matce...

Potem siadły obie przy wielkiej misce nalanej wodą, i wzięły się do obierania ziemniaków na wieczerzę...

— Co to takiego matuś, że dziadka niema? — rzekło dziewcze — przecież już dawno skończył służbę, a o tem czasie zawsze do nas przychodził... może słaby?... pójdźmy może do niego.

— A myślę i ja o tem Marysiu... ale to jeszcze nie jest tak późno... deszcz mu pewnie przeszkodził... bo tam z górki od dziadka, na błoto taka ślizgawica, że przejść nie można.

— Prawda matuś, ale przecież dziadek prosto ze szybu, zawsze do nas wstępował... brał mnię ze sobą... szliśmy razem do mieszkania, a potem znowu tutaj... tak było matuniu!... może on słaby?

— A! kiedy tak — bo ty to lepiej wiesz odemnie, i znasz mieszkanie dziadka i szufladki wszystkie... prawda? — dlatego teraz tak grubo obierasz ziemniaki... a uważajże, bo marnujesz połowę!...

— Kiedy tak, to poczekam jeszcze chwilę, popytam na drodze; a jak się pewnego nic nie dowiem... pójdziemy, — bo Boże broń — i przeżegnały się.

Potem to matka, to córka przetarły zamoczone okienko i wyjrzały ku drodze: deszcz bił w szyby... wicher szumiał w kominie... nikogo widać nie było... więc znów ze smutną miną siadały przy ziemniakach, a piosenka z ust uciekła...

Aż naraz Marysia wyjrzała przez okno i zawołała. Matuniu dziaduś idzie!... i oboje zaraz poskoczyły ku drzwiom, bo je widok dziadunia dziwnym jakimś strachem przejął...

Staruszek szedł bardzo prędko środkiem drogi; brnął w błocie po kostki, ślizgał się często, ale zdawało się, jakby nie widział, nie wiedział, co się z nim dzieje... Wicher szarpał mu długie wąsy siwe... oczy iskrzące miał utkwione w oknach chatki... ciągle przyspieszał kroku.

Z trzaskiem rozwarł drzwi chaty, a matka i Marysia wyszły już naprzeciw niego do sionki. Dosyć było tylko spojrzyć na staruszka, by się dowiedzieć, że coś ważnego zajść musiało.

— Cóż się to stało ojcze?.. — Co dziaduniu mój! czego tak spieszycie? tacy zadyszani?

— A! czekajcie — ledwo wymówił, starowina tak się zmęczył — a! nieszczęście!... pożar w kopalniach... Chłopiec rzucił kłak palący do skrzyni z łojem... komora się pali.

Janowa w pierwszej chwili załamała tylko dłonie: Jezus Marja! ojcze, co mówicie!... A Marysia od razu płakać zaczęła, tulić się do dziadka.

— Ojcze a on tam jest! on tam może jeszcze... może jakie nieszczęście?!... Chodźmy ojcze, chodźmy...

Nie gryź się kobieto poprzód nim cię co od Boga spotka... Nie płacz Marysiu... Zbierzcie się, kiedy chcesz iść, choć dobrze by było, żeby dziecko na taką zawieruchę nieszło... ale z kimże zostanie?

— O! ja pójdę, pójdę z matunią!

— Zbierzcie się i spieszcie za mną; ja lecę przodem się dowiedzieć... może was jeszcze za wolą Bożą, z dobrą wieścią z drogi wrócę. — Nie płacz Marysiu...

Pocałował płaczące dziewcze, i poskoczył prędzej niż przybył... myśl o nieszczęściu sił mu dodawała...

O! w takiej chwili, gdy na jasnem niebie zwiastun strasznego gromu się ukaże, co ma serce może strzaskać w kawały, w takiej chwili potęga ducha się objawia... zapominamy o ciele!

Prędko otworzyła Janowa zielony kufer; wyjęła chuścinę, owinęła się, otuliła w krzyż Marysię... i wyszły z chaty.

Matka się spieszyła, szła jak mogła najprędzej, a Marysia dreptała koło matki, brodziła nożętami w błocie, wielka by była szkoda bucików... tylko że ich obydwie nie miały... Twarz matki była czerwoną, rozognioną myślą o nieszczęściu, które ją spotkać miało, a niepewność groźniejszem je jeszcze czyniła... Dziewcze skwierczało ciągle... a tu deszcz bił po oczach i wietrzysko dmuchał, podwiewał chuścinę, rąk gdzie zatulić nie było... Zmęczyły się w krótce obie, oddechu im zabrakło... Janowa wzięła dziecko na ręce, przytuliła do piersi, owinęła chustką i szły już powoli... a do szybu jeszcze był spory kawałek.

Mitawa był już od chwili świadkiem scen okropnych, które się działy w szybie, gdzie wyjeżdżali z kopalni górnicy... Wieść o pożarze w kopalni rozeszła się wszędzie lotem błyskawicy... Trzeba było, żeby robotnicy wszyscy, jak najprędzej wydostali się na zewnątrz, by miejsce odosobnić, odmurować, i dalszemu szerzeniu się ognia tamę położyć... Ale chociaż wyjeżdżanie ku górze odbywało się bardzo szybko i za każdym razem kilku wyciągano górników, to jednak trwało zawsze czas dłuższy, czas strasznie długi, bo każdej chwili żywioł pod ziemią okropniejszym się stawał... Ci, co później wyjeżdżali, mdleli, wskutek tworzącego się w co raz większej ilości bezwodnika węglowego... trzeba ich było ocucać, ratować... Przedsięwzięcie jakiegoś środka zaradczego stało się koniecznem... a jeszcze kilku górników było w kopalni...

Pracowali znać w odległości... nie usłyszeli wołania... donieść im o tem nie podobna było...

Radca górniczy dał rozkaz zamurowania... Ci więc, co pozostali jeszcze, — byli skazani na śmierć. Na śmierć straszną: zamurowanie żywcem!

Mitawa pędził do szybu, ale ledwie się mógł przepchać przez tłumy cisnącego się ludu, przez tłumy niewiast. Wbiegł do szybu, w jednej chwili dowiedział się o wszystkiem... Spojrzał na kartę spisu wszystkich wchodzących i wychodzących z kopalni, spojrzał i zachwiał się starowina: pomiędzy brakującymi był Jan Mitawa... a rozkaz zamurowania był już dany... robotę zaczęto.

Więc staruszek poznał od razu, co się stało? co czekało teraz biedną kobietę z dzieckiem, samą jedną na szerokim świecie?!... On żył, mógł im pomódz, ale wiedział, że już nie długo trzeba będzie po tem stalowem życiu odpocząć, złożyć głowę siwą do snu wiecznego... któż im go wtedy zastąpi? — Czuł, że mu się tam coś w sercu urwało, coś piersi gniotło, a biegł pocieszać... biegł oznajmić, że mąż żywcem zagrzebany... Stał blady, złamany... ale nie długo; powiedział sobie, że mu słabnąć nie wolno, bo musi biednej kobiecie sił udzielić; podniósł głowę już z męstwem i chciał biedz prędko, żeby nieszczęśliwą jeszcze w odległości od szybu uwiadomić o ciosie... Ale tym razem nie mógł się już starowina przecisnąć. Dowiedziano się o losie nieszczęśliwych ofiar dobra ogółu i jęk, szloch był okropny... Jakaś matula biedna stanęła przy ścianie, i takim opropnym głosem wołała, tak tam czuć było rozpacz i boleść rozdartego serca:

Nie ma mojego Stasienka, niema! — już ja go nigdy, nigdy nie zobaczę!!

I wszyscy płakali... każdy czuł w tej chwili łączność, jaką go Bóg z bliźnim zjednoczył; jak serca jedną struną, struną boleści powiązał, że w jednem zatargana, odjękła we wszystkich.

Mitawa wydostał się wreszcie z ciżby, ale już nie potrzebował się spieszyć, bo spostrzegł opodal od szybu kobietę z dzieckiem na ręku.

Janowa przyspieszała co raz kroku spostrzegłszy masę ludzi cisnących się do wnijścia... z daleka już dochodził ją krzyk i lament.

Staruszek nie wiedział, jak zacząć mówić? co powiedzieć wdowie i sierocie?... Wziął Marysię na ręce, pocałował, a dziewcze przytuliło się do dziadka i skwapliwie pytać poczęło:

Mój dziaduniu! co się stało? co tato robi? czemu nie przychodzi?

On wziął milczącą kobietę za rękę... popatrzył na nią długo. — Nie rozpaczaj — rzekł — dziecko moje.. Bóg tak chciał... On nie żyje

Na te słowa biednej kobiecie zmęczonej drogą, ciężarem niesionego tak długo dziecka, zmoczonej, ziębniętej, — sił już zabrakło; pochyliła się, jak drzewo podcięte na ręce staruszka i jednym zaszła się płaczem.

Marysia objęła matkę za szyję i także płakała...; tak stali przez chwilę, jak posąg boleści...

Ale dziadek postawił dziecko na ziemię... wstrząsnął kobietą... oprzytomnił, i wskazał ręką na szyb:

— Patrz — rzekł — słyszysz?!... Ty masz dziecko na pociechę... masz mnie, co ci przecież pomódz mogę; a są tam nieszczęśliwsze... stokroć nieszczęśliwsze! — Jest matka biedna, siwiuteńka staruszka, której syn całem był utrzymaniem, całą pociechą, życiem... o! są biedniejsi, nieszczęśliwsi!

Nie rozpaczaj kobieto! Bóg was nie opuści, jeźli mu się szczerze w opiekę oddacie... Chodźcie dzieci moje, chodźcie do chaty... słuchajcie mię starucha; nie jedną boleść przeszedłem i nie jednej byłem świadkiem!... a zawsze padłem tylko przed Chrystusem ukrzyżowanym na kolana i jakoś się zniosło, przebolało i zniosło... Chodźcie dzieci moje, będziemy się modlili za Niego.

I wziął staruszek jedną płaczącą za rękę, drugą przytulił do piersi... tak szli do chatki.

Mitawa pierwszy odryglował drewnem zasunięte drzwi chaty, i weszli.

A tak się im jakoś teraz wszystko smutnem wydało!... Przez otwarte drzwi, z jakimś żalem, ciemna witała ich izdebka... Kuferek stał nie domknięty, z rzeczami poprzewracanemi w pospiechu, a na wieku pokłyskiwał w mroku obrazek święty... I miska stała z ziemniakami niedoobieranymi... ale kto tam teraz o tem myślał.

Staruszek zdjął z okna kaganek i rozjaśnił jako tako izdebkę.

W rogu stało łóżko Jana, a nad nim obraz Chrystusa, za szkłem, w ramkach... Biedna kobieta padła przed łóżkiem na kolana z Marysią — i przerywając płaczem, modlić się zaczęła.

Staruszek, który długo, długo się wstrzymywał, by kobiecie sił dodać do zniesienia ciosu, teraz, gdy zobaczył tę samą izdebkę, te same miejsca, rzeczy, gdzie wczoraj jeszcze tak wesoło gwarzyli, które mu przypomniały stratę jedynego, kochanego dziecka, — siadł na ławce, sparł głowę na ręce, obrócił twarz do okienka... a łzy długo wstrzymywane potoczyły się po twarzy staruszka, i chwilę — cicho płynęły.

O! takie łzy to balsam kojący boleść... bo cicha, niema, tłumiona — stokroć straszniejszą... a jeźli nie spłynie łzami... pęknąć może biedne serce.

Potem staruszek wstał, otarł łzy rękawem czarnej koszulki, tak, że tylko dwie czerwone smugi po nich zostały... pociągnął siwe wąsy... przyłączył się do klęczących, i zaczął mówić donośnym głosem modlitwę za umarłych.

Z głosem staruszka wiązały się z jękiem słowa biednej kobiety i Marysi.

A wicher zawodził w kominie... to w szybę wielkiemi kroplami deszczu zadzwonił... zamigotał przez szparę okna słabym płomykiem kaganka... zawył silnie.. znów ciszej, tylko kroplami szeleszcze. . . . .

W tem drzwi od chatki otwarto i wszystkim słowa modlitwy na ustach zamarły...

We drzwiach izdebki ukazał się skazany na zamurowanie żywcem — Jan Mitawa... wsparty na ramieniu górnika Radnego.

— Blady był bardzo, oczy zapadły mu w głąb i dziwnym pałały blaskiem... odzienie całe było osypane solą... podarte... ręce miał silnie zdrapane.

I z wszystkich piersi wydobył się naraz jeden okrzyk, przestrachu — podziwu, a potem okrzyk taki, jak z piersi skazańca, co mając wpaść do strasznej, bezdennej przepaści, zobaczył nagle przed sobą zieloną murawę zasianą cudnymi kwiaty... jak sen złoty!... jak marzenie!...

— Boże! czy to sen? — pytała biedna kobieta — tuląc męża do piersi... Starowina go w czoło całował, a dziewcze trzymało rękę ojca i do czerwonej łzami tuliło twarzy.

O nie! to była rzeczywistość, jak sen dziwna, jak wyrok Boski nie zbadana.

— To cud! — mówił górnik Radny przybyły z Janem — cud Boski!.. Padnijmy na kolana, dziękujmy Mu, że szczególną łaską Swoją, jego nam ocalił... inni już nigdy, — nigdy nie wrócą.

— A! mów, jak to było — wołał staruszek — prawda! łaska Boska! cud Boski! że ty żyjesz mój synu!... i tulił starzec syna do piersi, a twarz mu dziwną jaśniała radością... i wszyscy z uśmiechem na twarzy przez łzy szczęścia patrzyli na siebie, a z każdą taką łzą, — cicha, wielka modlitwa płynęła do Stwórcy.

— Wygrzebał się — słuchajcie!... Jam już kończył domurowywać wtem słyszę głos czyjś... głos taki... Boże! jak ryk — jęk okropny... taki żałośny... a! to nie opowiedzieć, co ja czułem wtedy?...

Wydostał się, ale był bardzo słaby; musieliśmy go długo cucić, leczyć... dlategośmy tak późno przyszli... ot! i teraz najlepiej będzie, gdy się położy do łóżka... Patrzcie, jaki blady — drzący... o! jeszcze długo spocząć mu potrzeba.

I położyli biedaka na łóżko, a sami otoczyli go do koła... — Potem modlitwa — rozmowa smutna...

Kaganek się dopalał... deszcz przestał padać, a już niebo od strony wschodu jaśniało... światło do izby zwolna wchodzić zaczynało, i padało na twarz chorego jeszcze górnika, którego Bóg cudownie ocalił żonie i dziecięciu, i ojcu staruszkowi co teraz w kątku izdebki zwiesił siwą głowę na piersi, i zmrużył zmęczone powieki... Marysia spała mu na kolanach... tylko żona czuwała ciągle przy chorym...

Weszło słońce, ale w jednej chatce tylko witano je z uśmiechem; w innych rozpacz... łzy...

O! wiele mogił przybyło!... wdów i sierót pozostało.

* * *

W kilka miesięcy potem widziałem staruszka wiodącego dziewcze ścieżynką ku cmętarzowi... Szedł się pomodlić na grobie nie dawno zmarłych kolegów... dziewcze niosło wieńce z kwiatów, ustroić czarne krzyżyki i z modlitwą dziadunia, słała dziękczynną modlitwę do Pana, za cudowne ocalenie ojca.

Zdzisław Kamiński.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: W Maniecki.